Skarby Księcia Sławomira

baśń o przedsiębiorczym szewcu

Seria

AKADEMIA MŁODYCH MILIONERÓW

» **Kot Biznesik**

» **Johnny Profit**

» **Złoto Johnny'ego**

» **Jak powstaje bogactwo, i kiedy nie powstaje**

» **Leśna Spółka wiewióra Albina**

» **Mrowisko czyli niezwykłe losy mrówki BAK**

» **Złoty interes Zosi**

» **Pakt ze Smokiem – baśń o królu, który chciał zapisać się w pamięci poddanych jako władca mądry i dobry**

» **Skarby Księcia Sławomira, baśń o przedsiębiorczym szewcu**

Bartłomiej Bilski
Jan M. Fijor

Skarby Księcia Sławomira

baśń o przedsiębiorczym szewcu

Ilustracje:
Sandra Falgowska



menger.pl

Projekt okładki oraz ilustracje: Sandra Falgowska

Konsultacja merytoryczna: Edyta Malinowska

Edycja: Weronika Skrzyńska, Edyta Malinowska

Redakcja graficzna i skład: Anna Szarko

Korekta: Weronika Skrzyńska, Edyta Malinowska

Copyright for the Polish edition by Fundacja Instytut Carla Mengera © 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być reprodukowana jakimkolwiek sposobem – mechanicznie, elektronicznie, drogą fotokopii itp. – bez pisemnego zezwolenia wydawcy, z wyjątkiem recenzji i referatów, kiedy to osoba recenzująca lub referująca ma prawo przytaczać krótkie wyjątki z książki, z podaniem źródła pochodzenia.

Wydanie pierwsze – Warszawa 2021

ISBN: 978-83-64599-62-0

Dystrybucja hurtowa:
www.menger.pl

Spis treści

Część I. Odnaleziony brat.....7
Część II. W drodze po skarby.....43
Część III. Podział skarbów.....89
Część IV. Życie jest sprawiedliwe.....115
Epilog.....127

CZĘŚĆ I
Odnaleziony brat

Jak większość letnich dni w Żarogrodzie, tak i ten był wyjątkowo piękny i upalny. Słońce kończyło swą długą wędrówkę po nieboskłonie, chowając się za wieżami kościołów i znikając za ścianą skruszonych przez ulewne deszcze i zimowe wichry szczytów górskich, Małego i Wielkiego Serca. Miasto pustoszało. Opuszczone przez tłum ulice i place zapełniały się bezdomnymi psami i kotami.

Dwaj strażnicy miejscy głośnymi uderzeniami sękatych pałek budzili śpiące w gniazdach, uwitych w żelaznych skrzynkach ulicznych lamp, ptaki. Obudzone gołębie, wróble i kukułki zrywały się do lotu z radosnym szczebiotem, dziękując głośnym trzepotem skrzydeł za udzielone im ostrzeżenie.

Strażnicy zręcznymi uderzeniem krzesiwa rozpalili pochodnie. Ich blask rozświetlił najbliższe zaułki. Jeden

klepnął drugiego mocno w plecy, wskazując na tlące się światełko mrugające w oknie pracowni miejscowego szewca, złotowłosego Dobromira.



– Czy to cię nie dziwi, że ten dratewka tylko pracuje i pracuje? – mruknął. – Chłopak z porządnego domu powinien w jego wieku, no wiesz…

– Daj mu spokój… – przerwał mu kolega. – To chyba dobrze, że pracuje. My też powinniśmy się wziąć do roboty – dodał, odciągając kolegę w głąb uliczki. Speszony reakcją towarzysza, osmolił pochodnią framugę wpółotwartego okna, syknął coś pod nosem, po czym obaj ruszyli w stronę pobliskiej bramy.

W tym momencie szewczyk, którego godność brzmiała Dobromir Stonoga, wstał, podszedł do okna, jakby wyczuwając obecność kogoś obcego, wychylił się i westchnął:

– Musiało mi się zdawać…

Mimo to, zaniepokojony unoszącym się w powietrzu swędem i dymem, dla pewności wychylił się jeszcze raz i, wpatrując się przez chwilę w łunę po zachodzącym dniu, rzekł:

– Boże, dziękuję ci za piękny dzień… Aż żal, że tak szybko się skończył.

„Jutro wtorek" – uświadomił sobie. – „We wtorki kowal, Czesław, przynosi z synami kosze trzewików zebranych do reperacji od biedoty z Nowego Miasta. Nie zabraknie mi zajęcia na resztę tygodnia" – ucieszył się Stonoga.

Na myśl o tym, że czeka go tyle pracy, poczuł w okolicach ramion rozkoszny dreszcz. „Przy całej tej monotonni: praca, sen, praca, sen, praca dzień po dniu, dzień po nocy" – zmitygował się – „nie mogę na swoje życie narzekać". Niejeden szewc mu zazdrościł. Nie raz pytali go, co takiego robi, że nigdy nie brakuje mu pracy, że ma swoich stałych klientów, że stać go na nowy szyld, niskie ceny, a nawet na harfistkę, która, siedząc przed warsztatem na ozdobnym zydelku, słodkimi dźwiękami płynącymi spod jej pociągających za struny palców, umila

przechodniom czas, przyciągając w okolice warsztatu tłumy gapiów.



– I po co to wszystko robisz? – pytali go konkurenci.

– Po prostu lubię tych ludzi i chcę, żeby się u mnie dobrze czuli – odpowiadał z tajemniczym uśmiechem Dobromir.

– Nie szkoda ci pieniędzy? Przecież takiej harfistce trzeba zapłacić za granie, opłacić gospodę, jadło, instrument… – padały kontrargumenty.

– To wszystko prawda, kumie – przyznał rację złotowłosy szewczyk – pamiętaj jednak, że ludzie nie lubią bezczynnie czekać. Pannie dworskiej słuchającej pięknej

muzyki w oczekiwaniu na naprawę czółenek czas mija szybciej i przyjemniej, więc kiedy zechce za jakiś czas nabyć nowe trzewiki, wróci do mnie, motywowana między innymi przyjemnością ze słuchania harfy grającej w tle.

– Głupiś, druhu… Oj, głupiś… – Kręcili mu kółka na czole, ale Dobromir Stonoga dobrze wiedział, kto tu ma rację.

Gdy po śmierci ojca (Panie, świeć nad jego duszą) przejął jego warsztat, w Żarogrodzie były dwa tuziny szewców. Trzy lata później została ich połowa, a po kolejnych kilku ubyła jeszcze jedna połowa. Gdyby nie pomógł Miłoradowi, szewcowi z placu targowego, zapłacić do magistratu dziesięcinę, i on musiałby się wynieść z miasta. Miłorad nigdy długu mu nie zwrócił, a Dobromir się o te pieniądze nie upominał; wiedział, że pomoc udzielona druhowi jemu także się opłaciła. Od tamtego czasu razem z Miłoradem kupowali razem skóry, dratwę, kleje, formy, nity czy narzędzia do szycia skór, bowiem dzięki większym zakupom surowców kupcy arabscy dawali im duży upust cenowy, a to jeszcze bardziej umacniało ich pozycję na rynku.

Inni rzemieślnicy tego nie rozumieli i dlatego już w cztery lata po śmierci ojca Dobromira – mimo iż harfistce trzeba było opłacić instrument, noclegi, odzienie i strawę – nie brakowało Stonodze roboty, zaś liczba jego

klientów ciągle rosła. A ponieważ dobrze się prowadził, modlił żarliwie, był zawsze uśmiechnięty, zdrowy, silny i chętny do roboty – nie narzekał na brak miedziaków, srebrników, a w schowku pod schodami miał nawet kilka złotych monet.

Od małego wyżej stawiał obowiązki nad beztroskę, pracę nad zabawę. Odkąd potrafił podźwignąć wiadro wody, narąbać drew na opał czy utrzymać w ręce miotłę – pracował. Czuł wtedy, że żyje; przynosił wodę z ulicznej studni, sprzątał pracownię ojca, a gdy nauczył się podstaw szewskiego fachu, całymi dniami wytrwale szył, kleił, prostował skóry i pastował buty. Pewnie, że wolałby być kupcem i jak oni podróżować po świecie, podziwiać obce krainy i je odkrywać; uczyć się obcych języków, projektowania łodzi i wozów, budowy domów i innych umiejętności, których mu brakowało, ale widocznie nie taki los był mu pisany, pocieszał się.

„Moi przodkowie" – pomyślał z nutą smutku – „mieli pod tym względem dużo więcej szczęścia…". Po chwili zadumy spojrzał na gliniany piec, na którym, obok rodzinnego herbu: kozy pasącej się na łące na tle wizerunku dwóch szczytów przypominających kształtem serduszka, wisiała podobizna jego świętej pamięci ojca.

– Papo, mój kochany ojcze – wyszeptał. W jego oczach pojawiły się łzy. – Jakże bym chciał, drogi papciu, wyjść z tej pracowni, pospacerować z tobą po

słonecznych łąkach, pójść w góry, na grzyby do lasu, pokąpać się w strumyku i posłuchać twych opowieści o dawnych, dobrych czasach…

Miał na myśli okres rządów księcia Leona, który – jak żaden z okolicznych władców – dbał o swych poddanych, by możni i dworzanie im nie dokuczali, a egzaktorzy[1] nie pobierali nadmiernych podatków. Nad bezpieczeństwem kraju i narodu czuwało wtedy rycerstwo, które w razie potrzeby udawało się pod wodzą swego monarchy na dalekie wojny, z których przywozili drogocenne łupy i niewolników. Co prawda gros tego bogactwa zatrzymywali dla siebie władcy, hetmani, rycerze czy hierarchowie, mimo to i dla biednego szewca coś z pańskiego stołu skapnęło – jakby nie patrzeć elita potrzebowała dobrych butów. Zwłaszcza gdy wkrótce po zwycięskich wojnach, obdarzeni sowitym żołdem, chwałą i prestiżem rycerze zdobywali serca pięknych białogłowych, skutkiem czego nie było tygodnia, by nie odbywały się wystawne wesela, chrzciny czy uczty. Na większość z nich zapraszano zarówno ludzi zamożnych, jak i plebs. W nowych rodach rodzili się nowi rycerze, przybywało nowych biskupów, a arystokraci i szlachcice rośli w siłę i majętność. W takich warunkach nie brakowało zajęcia, a zwłaszcza możliwości bogacenia się dla

[1] W wiekach średnich tak nazywano poborców podatkowych.

co zdolniejszych i pracowitszych biedaków, którzy po służbie w armii awansowali z czasem do klasy rzemieślniczej, ziemiaństwa, a nawet do hierarchii kościelnej.

Dobromir na żadnej wojnie nie był, znał jednak dobrze swoje miejsce we wspólnocie. Pochodził z biednego, lecz szlacheckiego rodu Stonogów. Jeśli nawet jego przodkowie z trudem wiązali koniec z końcem, nie była to ani wina króla, ani hierarchów, ani nawet rodziny Stonogów. Dworek, stajnie i pękające od zboża i siana stodoły znajdujące się niegdyś w posiadaniu rodu i sławiące jego dumny herb, Koźlarz, zostały w czasie jednej z licznych wojen splądrowane. Uchowała się jedynie gorzelnia, z której żołdacy wroga w czasie miesięcy oblężenia chętnie korzystali, stąd żal im było ją spalić. Tuż po zakończeniu wojny, pradziad Dobromira, Wincenty, sprzedał gorzelnię wraz z resztkami stada bydła i kilkoma morgami łąk, przenosząc się do Żarogrodu w nadziei na lepsze życie.

I rzeczywiście, Stonogowie wydźwignęli się z upadku, jednakże okres prosperity nie trwał długo. Najpierw dziad i babka, potem ich córka, matka Dobromira, zapadli na tajemniczą chorobę, której leczenie pochłonęło znaczną część rodzinnego majątku. Mimo przyjmowania najlepszych zagranicznych medykamentów zeszli z tego świata, gdy Dobromir miał niespełna dwa lata. Z fortuny, jaką ojciec zdołał uratować, wystarczyło na kupno warsztatu szewskiego w pobliżu rynku i jednoizbowego

domku na peryferiach grodu, a i na to rodzina Stonogów musiała się zapożyczyć u okolicznych lichwiarzy[2].

Długi sprawiły, że zamiast wybrać się do szkół, jak planowano, starszy z braci, Ludomir, musiał porzucić rodzinny dom i oddać się na służbę wojskową do kasztelana, Mirona. Dobromirowi, chcąc, nie chcąc, pozostało uczyć się zawodu w warsztacie szewskim ojca.

Jakby tych nieszczęść było mało, wkrótce potem zmarł ze zgryzoty ojciec. Dobromir miał wtedy dwanaście lat. Mimo młodego wieku zrozumiał, że utrzymanie domu i warsztatu spocznie odtąd na jego barkach. Jeśli przestanie spłacać długi, straci nie tylko źródło utrzymania, ale być może i sam dom. Przygnieciony ogromem odpowiedzialności, pozbawiony jakiegokolwiek doświadczenia, napisał do swego starszego brata, aby powrócił do domu i pomógł w spłacie zobowiązań pozostałych po ojcu. W odpowiedzi otrzymał kasztelański pergaminowy rulon, a na nim wiadomość, że Ludomir „jakiś czas temu udał się na wyprawę na Wschód i odtąd wszelki ślad po nim zaginął".

Mając takie jarzmo, Dobromir zmuszony był spędzać w pracy większość swego czasu. W miarę upływu lat i nabierania doświadczenia warsztat powoli zaczął prosperować;

[2] W czasach, o których mowa, pożyczaniem pieniędzy biedakom trudnili się głównie lichwiarze. Ze względu na stosunkowo wysokie ryzyko pobierali od dłużników wysokie odsetki.

rosły też umiejętności chłopaka: szył coraz szybciej, ale i dokładniej, nabierał wprawy w obcowaniu z ludźmi, rozwinął swój wyjątkowy talent do projektowania nowych wzorów obuwia. Siłą rzeczy rosła jego prosperita, a wraz z nią baza zadowolonych klientów. A ponieważ był dla nich miły, życzliwy, solidny i punktualny, to i oni rewanżowali się, polecając go swoim krewnym i znajomym.

Każdy miesiąc, tydzień, dzień przybliżał go do terminu spłaty ostatniej raty długu. Toteż latem, kiedy dni były dłuższe, wstawał przed świtem i kładł dopiero wtedy, gdy zmierzch całkowicie uniemożliwił mu pracę.

Według jego kalkulacji ten szczęśliwy moment miał nadejść w drugim tygodniu maja 1698 roku. Jeśli dobrze wyliczył, we wtorek, najpóźniej w środę, spłaci ostatnią ratę, a wraz nią zarówno domek, jak i warsztat staną się całkowicie i wyłącznie jego własnością.

„Będę wolny, od nikogo niezależny" – myślał Dobromir i robiło mu się ciepło na sercu.

– Wolności, jakże pięknie smakujesz! – podśpiewywał. – Została mi jeszcze do zrobienia jedna para trzewików…

Przeszył grubą baranią skórę potężną igłą, przeciągając lnianą nić przez serię otworów, które przygotował poprzedniego dnia. Szydło fruwało mu w rękach ze zręcznością, jakiej nie powstydziłby się najlepszy wenecki fachmistrz z jego branży.

Skończył mocować cholewki do podeszwy dopiero, gdy poświata księżyca zaczęła padać na jego warsztat. Dokończył pracę i wyczyścił obuwie z myślą, że w piątek zaniesie je pobliskiemu masarzowi, którego syn właśnie dał na zapowiedzi. Jak co wieczór wykonał swój rytuał zamykania pracowni, który polegał między innymi na kontemplacji herbu i podobizny ojca. Przysłaniając okiennice, westchnął, pocieszając się w duchu:

„Jutro spłacę resztę długu i skupię się na budowaniu majątku, tak by moje dzieci miały w przyszłości lżejsze życie".

Ucałował płytkę herbu, sprawdził zamek w głównych drzwiach, po czym poruszył klamką, aby upewnić się, że żaden rzezimieszek, jakich w Żarogrodzie od pewnego czasu nie brakowało, nie dostanie się do środka. Przemył ręce i twarz i udał się do swego domku na spoczynek. Zmęczony długą pracą, ale i spokojny o to, co miało się wydarzyć nazajutrz, świadom tego, że zmierza w dobrym kierunku, położył się na ławie, zamknął oczy i w mig zasnął.

Przebudziło go szczekanie psów. Odsunął zasłonkę z okna i z przerażeniem stwierdził, że słońce jest już wysoko. Połknął w pośpiechu kilka plasterków sera, zagryzając resztką chleba i soczystą cebulą. Zerknął w okno. Na wieży pobliskiego kościoła zegar wskazywał godzinę szóstą. Uspokoiło go to. Wrzucił do worka resztkę



sera, cebulę i marchewkę i popił mlekiem. Ze schowka w ścianie za ławą wyjął zawiniątko, w którym trzymał monety dla lichwiarza; zamknął okna i drzwi i, kontemplując piękno ciepłego poranka, udał się do warsztatu.

Gdy doszedł na miejsce, pomocnik kowala już tam czekał. Dobromir wręczył mu naprawione buty z zeszłego tygodnia, skasował pieniądze, wziął nowy wór robót, pożegnał się i, nie czekając ani chwili, pognał w kierunku rynku na spotkanie z lichwiarzem. Nie przeszedł nawet czterech przecznic, gdy nagle wpadł na kogoś.

– Auaaaaaaa, uważaj, jak chodzisz, głupcze! – wydarł się na niego postawny rówieśnik o kruczoczarnych, kręconych włosach. Wychodził właśnie z bocznej uliczki, która łączyła się z traktem, po którym poruszał się Dobromir.

„Ma tupet ten ziom" – pomyślał Dobromir. – „Przecież to on wpadł na mnie, a nie ja na niego…". Miał nawet ochotę pokazać mu, kto z nich dwojga jest głupcem, gdy nagle przechodzień złapał go mocno za oba ramiona, przyglądnął mu się, jakby Dobromir był, nie przymierzając, dorodną klaczą czy futrem z bobrów, po czym ryknął:

– Nie, nosz nie uwierzę! Toż to mój rodzony Dobromir! Bracie mój kochany, wybacz, że tak cię potraktowałem… Śpieszno mi na targ, bo… ale przecież nie będziemy rozmawiać na ulicy o interesach. Braciszku kochany, ileż to lat się nie widzieliśmy?

Mimo iż jasne słońce rzucało promienie światła na twarz krzykacza, Dobromir nie był w stanie go rozpoznać.

– No nie wiem… Nie rozumiem… A kim pan jest? – spytał zdezorientowany.

– Jak to: kim jestem? To ja, twój brat, Ludomir. Nie poznajesz braaaaaata?

– To naprawdę ty, Ludomirze? – spytał niepewnym głosem Dobromir. – Co ty tu robisz? Myślałem, że cię już nigdy nie zobaczę. Nasz wuj mówił, że do Żarogrodu to ty już nie powrócisz…

– A to niby dlaczego? – spytał brat już łagodniej.

– Nie dawałeś znaku życia… Na listy nie odpowiadałeś. Na pogrzeb nie przyjechałeś…

– Czyj pogrzeb? No, właśnie, powiedz, jak się ma nasz staruszek?

– Znaczy się, ojciec nasz, Panie, świeć nad jego duszą, odszedł był w zaświaty jakieś dziewięć lat temu.

Ludomir przeżegnał się, ale nadal się uśmiechał.

– Szkoda staruszka, ale smuceniem się życia mu nie przywrócimy, tym bardziej, że przecież mamy powód do radości; po tylu latach napotkałem swego młodszego brata…

– Jak mnie poznałeś? – zdziwił się młodszy Stonoga. – Gdy odchodziłeś, miałem tylko dwanaście lat…

– To proste. Fartuch, w którym paradujesz, nosi herb rodu naszego ojca. Poza tym, nikt na całym Podolu nie ma nad okiem blizny w kształcie leżącego kota.